

za... On cierpiał dla mnie, a Msza nie tylko mi o tym przypomina, ona to uobecnia, choć jest Ofiarą bezkrwawą... Czy ja nie mogę cierpieć dla Niego?

Kulminacyjnym momentem były właśnie konsekracja i podniesienie. Bóg na moje słowa, na mój rozkaz i z mojej woli, w moich rękach, stawał się realnie obecny... Dobrowolnie poddał się pod panowanie człowieka, pod moje panowanie. Gdzieś głęboko uświadomiłem sobie podczas jednej z Mszy, że rzeczywiście w ręku trzymam Pana Panów i Króla Królów. Pamiętam, że wtedy, podczas podniesienia, trzymałem Ciało Pańskie i Krew w górze bardzo długo i modliłem się: „Panie, oby to nie był ostatni raz. Nie wypuszczę Cię z rąk, dopóki nie poczuję, że otrzymuję łaskę, której żądam”. Nie wiem, jak długo wtedy stałem z wysoko podniesionymi rękoma, ale właśnie wtedy dosłownie powiedziałem Bogu: „Rób ze mną, co chcesz”.

Wiele było jeszcze celebracji w „samotności”, niejeden kryzys i niejedna trudna chwila, jednak zawsze czułem, że po Mszy trydenckiej wracam z nową energią, nową siłą. Przychodziłem po ludzku zmęczony, odchodziłem wzmocniony i uspokojony. Jestem na swoim miejscu, robię, co do mnie należy, reszta w rękach Bożych.

Można mówić i pisać wiele o znaczeniu *Summorum Pontificum* dla Kościoła, ale dla mnie najważniejsze jest to, że mam możliwość celebrowania tej Mszy, kiedy tylko zechcę, bez specjalnej zgody kogokolwiek. Msza trydencka tchnie spokojem, szacunkiem, dostojnością, świętością – kapłan, który ją odprawia,

jeśli ma choćby minimum wiary w siebie, znajdzie w niej pocieszenie i pokrzepienie, znajdzie ochronę i stabilność, której potrzebuje w chwili kryzysu. Ja to wszystko znalazłem i tym chcę się podzielić z innymi. Niech Panu Bogu będą dzięki za pontyfikat Ojca Świętego Benedykta XVI i za motu proprio, dzięki któremu mogę celebrować Mszę trydencką; bez Mszy w tej formie być może nie byłbym już posługującym kapłanem. I to jest dla mnie największy cud i najważniejszy owoc tych 10 lat od „uwolnienia” Mszy trydenckiej.

A na koniec apel: drogi Bracie, Kapłanie w kryzysie – tym, co może uratować Twoje kapłaństwo, jest Msza święta. Idąc zatem, by ją odprawiać, proś najpierw za samego siebie i odnajdź w niej Boga, który naprawdę działa. Zachwyć się tajemnicą, która rozpościera się przed Twoimi oczami. Jesteśmy bowiem święceni dla składania tej Ofiary i z niej czerpiemy naszą siłę, bo jej całym sensem i treścią jest Jedyny i Najwyższy Kapłan, Jezus Chrystus.

Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że odprawianie Mszy w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego uratowało moje kapłaństwo, dzięki mocy Boga, który działa i czyni cuda. ■

Arkadiusz Robaczewski

Dziesięć lat temu, 14 września 2007 roku, weszły w życie przepisy motu proprio Benedykta XVI *Summorum Pontificum*. Papież, ogłaszając ten dokument, przywracał do pełni praw tzw. „starą” Mszę, powszechnie odprawianą w Kościele rzym-

skim do lat 70. XX wieku, a od tego czasu właściwie usuniętą, w praktyce wręcz zakazaną. Dopiero w 1988 roku Jan Paweł II ogłosił motu proprio *Ecclesia Dei*, w którym m.in. dawał zalecenie: „wszędzie należy uszanować nastawienie tych, którzy czują się związani z liturgiczną tradycją łacińską, poprzez szerokie i wielkoduszne zastosowanie wydanych już dawniej przez Stolicę Apostolską zaleceń co do posługiwania się Mszałem Rzymskim według typicznego wydania z roku 1962”.

Niestety, wola Papieża nie była realizowana. Pamiętam, jak w latach 90. ubiegłego wieku tym, którzy w kuriach diecezjalnych starali się – na podstawie tego papieskiego dokumentu – o „stara” Mszę, różne czynniki kościelne mówiły, że próżny to trud, że trzeba dać sobie spokój. „To już nie wróci, koniec kropka. Do szeregu marsz!” Takie oto – lub w podobnym tonie – padały odpowiedzi urzędników kurialnych, głuchych na papieskie zalecenie, by prośby o zgodę na odprawianie Mszy według dawnego Mszału traktować z wielkoduszością.

Nikt wówczas nie widział lub widzieć nie chciał spustoszenia liturgicznego, które zataczało coraz szersze kręgi. Samoza-dowolenie, spowodowane wypełnionymi przez wiernych nawami kościołów, świeckimi garnącymi się do liturgicznej służby ołtarza, skutecznie odcinało od smutnej prawdy: odnowiona liturgia wcale nie spełnia pokładanych w niej nadziei. W Polsce nie mówi się jeszcze o tym otwarcie, ale wśród poważnych specjalistów zajmujących się różnymi aspektami

liturgii coraz mocniej wybrzmiewa głos, że reforma liturgii z lat 70. ubiegłego wieku była zdarzeniem nieszczęśliwym, działaniem źle przeprowadzonym, dziełem zamkniętej grupki reformatörów. Reforma nie realizowała ducha soborowej konstytucji *Sacrosanctum Concilium*. W konsekwencji otworzyła drogi do powszechnej banalizacji kultu Bożego. To dlatego obecny prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów, kard. Robert Sarah, może i musi mówić o potrzebie rachunku sumienia wobec tego, co odpowiedzialni za liturgię z nią uczynili.

Uwolnienie Mszy tradycyjnej przez Benedykta XVI spowodowało, że nagle zaczęło przybywać kapłanów, którzy chcą ją odprawiać, a także, w sposób naturalny – miejsc, w których jest ona odprawiana. W Polsce jest ich w tej chwili ponad czterdzieści, na Zachodzie rozwój jest jeszcze bardziej dynamiczny. Na Msze tradycyjne przyjeżdżają całe rodziny, małżeństwa młode i te w średnim wieku z, czasem nadzwyczaj licznym, potomstwem. Mszę odprawiają młodzi kapłani, ci, którzy dawnej liturgii nie pamiętają nawet z opowieści. A jednak dziedzictwo liturgiczne Kościoła, na kilkadziesiąt lat odsunięte, skazane na zapomnienie, ma w sobie moc ożywczą, zdolną na nowo pobudzać wiarę.

Benedykt XVI, jak mało kto, przenikliwie widzi krajobraz spustoszenia w Kościele i potrzebę „nowej ewangelizacji” na terenach, gdzie niegdyś rozkwitało chrześcijańskie życie. Akt przywrócenia do pełni praw „starej Mszy” odważnie wpisuje się w program nowej ewangeli-

zacji. Bowiem ta Msza ewangelizowała świat – była odprawiana we wspaniałych katedrach, cichych klasztorach i w lichym Ars, w stodołach i barakach, na polach bitew, w kościołach większych i mniejszych miast, a także wszędzie tam, dokąd docierali misjonarze z Ewangelią. Dlatego jeśli Papież przywrócił ową Mszę, a jego współpracownicy zabiegają o to, by była ona możliwie jak najpowszechniej sprawowana, jak ujął to kard. Darío Castrillón Hoyos, „w każdej parafii”, to nie po to, by stworzyć konkurencję wobec nowego *Ordo Missae*, ale by na nowo ewangelizować świat przez liturgię, która sprawdziła się w tym dziele od czasów Imperium Rzymskiego aż po XX wiek i która tak wyraźnie i niepodważalnie stawia Chrystusa w centrum, oraz Bogu Jedynemu oddaje cześć. Taki jest sens podstawowy, zasadniczy „powrotu do starej Mszy”: ustawienie Chrystusa, składającego z siebie Ofiarę Ojcu i rodzącego Miłość, ponownie w centrum świata, który traci wiarę.

Dziś, gdy patrzę na niedzielną Mszę i widzę młodych kapłanów przy ołtarzu (na początku lat 90., kiedy „czynniki kurialne” dokonywały swych aktów gaszenia ducha, ci przyszli kapłani, proszę wybaczyć śmiałość, biegali boso za orkiestrą), dla których ta Msza jest „ich” Mszą, trudno nie cieszyć się, że liturgia Kościoła, sięgająca czasów starożytnych, jest nieprzemijającą, wciąż ożywcą dla tych, którzy się z nią stykają, jest nowością.

Owoce *Summorum Pontificum* jest zauważalny zwrot w myśleniu o liturgii. Wydaje się, że po latach różnorodnych prób

narzucenia na dzieło kultu kategorii socjologicznych, lingwistycznych i kulturowych liturgia dopiero po tym dokumencie zaczyna być pojmowana jako *fons et culmen* życia wiarą.

Konkretnym przejawem tego zwrotu jest coraz częstszy namysł nad liturgią, dokonywany jednak w pokorze, szukający tego, co istotne. Można powiedzieć, że na katolickich uczelniach i w katolickich think tankach dokonuje się prawdziwie intelektualne studium nad liturgią. Może nie na taką skalę, na jaką powinno, by możliwie w krótkim czasie zatrzymać erozję liturgiczną, ale jest ono faktem zauważalnym. Innym znakiem liturgiocentryzmu jest dokonywana przez liturgię formacja kapłanów i pojawienie się nowego pokolenia duchownych – kształtowanych, co prawda, w seminariach przez podręczniki i prowadzone według nich wykłady z czasów, gdy bardzo entuzjastycznie podchodzono do reformy posoborowej, ale poszukujących Tradycji. Pojawienie się *Summorum Pontificum* w czasie ich przygotowania do kapłaństwa spowodowało, że zwrócili się oni, spragnieni głębi, do liturgicznego dziedzictwa Kościoła. W Polsce fakt ten nie jest tak widoczny jak w krajach zachodnich, ale jest też zjawiskiem dostrzegalnym. Dowodem jest choćby liczny udział kapłanów w corocznym znaczącym wydarzeniu, jakim są warsztaty liturgii tradycyjnej Ars Celebrandi odbywające się w Licheniu. Wzrost liczby duchownych, którzy dawną liturgię wybierają jako liturgię swojego kapłaństwa, powoduje siłą rzeczy liturgiczną formację wiernych. Mam tu na myśli za-

równie kształtowanie wiary i życia religijnego przez udział w kulcie, jak też wzrost świadomości liturgicznej i uporządkowanej wiedzy w tej dziedzinie. Mamy zatem do czynienia z realizacją pragnień Ojców ostatniego Soboru.

Myślę, że nie będzie nadużyciem, jeśli synem *Summorum Pontificum* nazwę wspomnianego już kard. Roberta Sarah. Sam nie należy do grona purpuratów, którzy odpowiadają Mszę według ksiąg z 1962 roku, ale jego wypowiedzi dowodzą, że ma niezwykle rozwinięty *sensus liturgicus*. Właśnie w czasie rzymskich obchodów X-lecia wydania dokumentu zaświadczył, mówiąc o tych, którzy swą wiarę kształtują zanurzani w tradycyjnej liturgii: „Napełnia ich radość, bo żyją z Chrystusem pośród wyzwań współczesnego świata”. Charakterystyka, na którą publicznie przed *Summorum Pontificum* nie zdobyłby się żaden hierarcha. W trakcie tego samego spotkania kard. Sarah wypowiedział też ważne zdanie, będące jakby posłaniem *ad gentes*, choć było to posłanie do innych katolików: by wyjść ze swych środowisk i ukazywać innym piękno wiary kształtowanej przez starą, ale wciąż ożywiającą Kościół liturgię. ■

Ks. Adam Ryński

Historia fascynowała mnie od najmłodszych lat, gdy słuchałem niekończących się opowieści mojej babci na temat rodzinnych korzeni i naszej przeszłości. Wygrzebywane pamiątki, ukryte w zakamarkach strychów modlitewniki, obrazki pierwszo-

komunijne i w końcu piękno XIX-wiecznego parafialnego kościoła zaczęły we mnie rozbudzać miłość nie tylko do tej historii lokalnej. Rozszerzyła się ona także na historię całego Kościoła, a ściślej rzecz ujmując, na historię liturgii i Mszy świętej.

Jako młody człowiek o Mszy świętej trydenckiej nie wiedziałem zbyt wiele. Wszystko zaczęło się zmieniać w momencie, gdy – będąc klerykiem pelplińskiego seminarium – postanowiłem poszperać w bibliotece i czytelni pośród książek, które wprowadziły mnie w bogactwo tego tematu. Spędzałem wiele godzin na poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, było ich wtedy rzeczywiście niemało. Po przeczytaniu kilku pozycji zauważyłem, że dopiero teraz zaczynam tak naprawdę rozumieć – dzięki starej Mszy – Mszę świętą po reformie Soboru Watykańskiego II. Rzeczywiście wszystko zaczęło się układać w jedną całość. Gdy jednego roku wróciłem na przerwę wakacyjną do rodzinnej parafii, miałem szczęście porządkować magazyn na plebanii, gdzie odnajdywałem dawne szaty, księgi i paramenty liturgiczne. W końcu też podjąłem decyzję, że spróbuję nauczyć się celebrować Mszę świętą w jej nadzwyczajnej formie. Najpierw jednak chciałem zdobyć solidne podstawy teoretyczne.

Po święceniach kapłańskich zostałem skierowany przez księdza biskupa do pracy w parafii pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej i św. Jana Chrzciciela w Bytowie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że właśnie w tej parafii – jako jedynej w diecezji – były celebrowane Msze świę-